

# Ewa jutra \*

AUGUSTE VILLIERS DE L'ISLE-ADAM

## Księga druga: PAKT

### II. Środki bezpieczeństwa

*Nie ma mnie dla nikogo!  
Rozumiesz? Dla nikogo!  
Balzac, Ludzka komedia*

Edison podszedł do wielkiego okna, zamknął je, rozłożył wewnętrzne okiennice i opuścił antabę; ciężkie frędzle zasuwanych stor uderzyły o siebie. Potem zaryglował drzwi pracowni.

Wreszcie naciśnięciem guzika zapalił na dachu pawilonu krwistoczerwoną latarnię: światło ostrzegawcze, sygnalizujące całej okolicy, że należy trzymać się z dala od budynku, gdzie dokonuje się właśnie niebezpieczne doświadczenie.

Jednym obrotem rączki centralnego izolatora oniemił i ogłuszył wszystkie mikrotelefony, prócz tego, który łączył go z Nowym Jorkiem.

– W ten sposób odgradziliśmy się nieco od świata żywych! – stwierdził Edison, wróciwszy do telegrafu. Poruszając bezgłośnie wargami, zagadkowo wystukiwał niezliczone kreski i kropki, porządkując jednocześnie lewą ręką jakieś przewody. – Czy nie ma pan przypadkiem przy sobie fotografii Miss Clary? – spytał, nie przerywając stukania.

– Prawda! Zupełnie zapomniałem! – odparł lord Ewald, wyjmując z kieszeni portfel. – Oto ona, w całej swej marmurowej krasie. Proszę spojrzeć i orzec, czy przesadziłem, malując jej portret.

Edison wziął kartonik i, rzuciwszy nań okiem, wykrzyknął:

– Coś niesłychanego!... Toż to rzeczywiście sławna WENUS nieznanego dłuta!... Doprawdy niesłychane! Więcej, zdumiewające! Daję słowo, że jestem zdumiony!

Odwrócił się i pokręcił regulatorem sąsiedniej baterii. Wzbudzona w ten sposób iskra pojawiła się pomiędzy ostrzami pary platynowych szpikulców i, jak gdyby rozglądając się, w którą stronę popędzić, przez dwie sekundy nuciła swoją dziwną melodię.

\* Prezentowany fragment powieści ukaże się nakładem Wydawnictwa małe. Dziękujemy wydawcy polskiemu panu Janowi Gondowiczowi za udostępnienie tekstu, w którym zachowana została oryginalna grafia utworu.

Niebieski drut – osiodłany specjalnie do jazdy w Bezmiar – przybliżył się do niej; jego drugi koniec ginał gdzieś pod ziemią.

Wyczuwszy metalowego rumaka, niecierpliwa kurierka skoczyła nań i znikła.

W chwilę później pod stopami obu mężczyzn rozległ się posępny łomot. Dochodził z samych trzewi ziemi: z głębi jakiejś otchłani zbliżało się ku nim coś ciężkiego, skutego łańcuchem. Wydawało się, że to trumna, wydarta mrokom przez dżinny, powraca z czeluści na powierzchnię ziemi.

Edison, wciąż trzymając w ręce fotografię, wbijał oczy w punkt na ścianie, na drugim końcu pracowni. Pełen niepokoju, oczekiwał.

Łomot ustał...

Elektryk położył dłoń na jakimś przyrządzie, którego lord Ewald nie zdołał dostrzec, i krzyknął:

– Hadały!

### III. Widziadło

*Kto skrywa się pod tą zasłoną?*

Schiller, *Das verschleierte Bild zu Saïs*

Na dźwięk tajemniczego imienia część południowej ściany obróciła się bezgłośnie na sekretnych zawiasach, odsłaniając niewielką wnękę w kamiennym murze.

Wszystkie lampy skierowały nagle blask w tamtą stronę, zalewając światłem wnętrze niszy.

Wzdłuż półokrągło wklęsłych ścian, z jaspisowego sklepienia spływały tam obficie na białą taflę marmurowej podłogi fale czarnej mory, w której szerokich fałdach tu i ówdzie błyszcząły, wpięte w gładź tkaniny, wielkie złote ćmy.

Pod tym baldachimem stała jakaś *Istota*, promieniująca *Niewiadomym*.

Zdawało się, że twarz ma utkaną z cienia: na wysokości czoła sznur pereł przytrzymywał plisy żałobnej zasłony, której mrok okrywał jej głowę.

Błyszcząca matową bielą damska zbroja z płatów kutego srebra, idealnie wymodelowana, podkreślała wszystkie szczegóły smukłych dziewiczych kształtów.

Skrzydła woalu, skrzyżowane pod brodą na metalowym naszyjniku i przerzucone przez ramiona, łączyły się węzłem na karku. Ich lekkie końce, niczym włosy, spływały po plecach aż do samej ziemi, zlewając się z cieniem postaci.

Opasująca biodra czarna batystowa szarfa, luźno związana z przodu, opadała pomiędzy kolana czernią frędzli, osypanych brylantowym deszczem.

Wśród fałd tej przepaski widniała skośna błyskawica nagiego ostrza; zjawą prawą ręką ścisnęła rękojeść sztyletu, a w lewej, opuszczonej, trzymała złoty nieśmiertelnik. Na wszystkich palcach obu dłoni różnobarwnymi kamieniami błyszcząły pierścienie, przytwierdzone do kształtnych srebrnych rękawic.

Tajemnicza istota trwała przez chwilę w bezruchu; potem przestąpiła stopień progu i, niepokojąco piękna, zbliżała się do wpatrzonych w nią mężczyzn.

Zdawała się stąpać lekko, ale jej kroki dźwięczały pod lampami, których ostre światło wzniecało blaski na zbroi.



Jean-Marie-Mathias-Philippe-Auguste de Villiers de l'Isle Adam

Przystanąwszy w odległości trzech kroków od Edisona i Anglika, widziadło przemówiło melodyjnym, poważnym głosem:

– Jestem, Edisonie, przybywam na wezwanie!

Lord Ewald, nie wiedząc, co myśleć o tym wszystkim, przyglądał się zjawie w milczeniu.

– Wybiła godzina życia, Miss Hadaly, jeśli wola! – rzekł Edison.

– Nie zależy mi na nim tak bardzo! – wyszeptał cicho głos, stłumiony przez woal.

– Ten młodzieniec przyjął je w twoim imieniu – odparł elektryk, wsuwając do podajnika fotografię Miss Alicji.

– Niech się więc stanie wedle jego woli! – powiedziała po chwili Hadaly, kłaniając się lekko gościowi.

Edison spojrział nań także, a potem, ustawiwszy paznokciem przerywacz, jedną iskrą zapalił dużą magnezjową gąbkę na drugim końcu pracowni.

Potężny snop oślepiającego światła buchnął z reflektora i uderzył w obiektyw, ustawiony naprzeciw fotografii Miss Alicji Clary. Inny reflektor oświetlił ją od spodu tysiącem przenikliwych promieni.

Kwadratowa soczewka obiektywu błyskawicznie zabarwiła się w samym środku; potem szkło samo przez się opuściło swe miejsce i wśliznęło się do wnętrza metalowej kasety z dwoma okrągłymi otworami po bokach.

Rozżarzona do białości strzała, wpadłszy przez jeden z otworów, przebiła uczulony środek soczewki i, zabarwiona, wyleciała drugim wprost w rozszerzony konus projektora. I oto na białej jedwabnej płachcie, rozpiętej w ogromnej, przytwierdzonej do ściany ramie, ukazał się przejrzysty, malowany światłem, natural-

nej wielkości portret młodej kobiety – ucieleśnionej kopii *Venus victrix*, o ile coś podobnego kiedykolwiek istniało na tym padole złudzeń.

– Nie do wiary – wyszeptał lord Ewald – chyba śnię!

– Oto kształty, w które się wcielisz – powiedział Edison, zwracając się do Hadaly, która, podszedłszy na kilka kroków do promiennego obrazu, zdawała się nań patrzeć spod nocy swego woalu.

– Jakże piękna!... Czemu zmuszają mnie do życia! – szepnęła jakby do samej siebie.

Po czym spuściła głowę na piersi i, głęboko wzdychając, dokończyła:

– Niech się tak stanie!

Magnezja zgasła; obraz na płachcie zniknął.

Edison wyciągnął dłoń w stronę czoła Hadaly.

Ta lekko drgnęła i bez słowa podała swój symboliczny złoty kwiat lordowi Ewaldowi, który przyjął go od niej, przejęty dziwnym dreszczem. Potem, znowu stąpając jak we śnie, skierowała się ku swojej baśniowej niszy.

Stanąwszy w progu, odwróciła się i, podnosząc dłonie ku czarno zawoalowanej twarzy, pełnym młodzieńczej gracji gestem przesłała tym, co ją wywołali, daleki pocałunek.

Uniosła żałobną draperię, weszła do środka i znikła.

Ściana zamknęła się.

Rozległ się ten sam posępny łomot co przedtem: tym razem oddalał się w głąb ziemi i cichł, dopóki nie zgasł.

Dwaj mężczyźni znów byli sami pod lampami pracowni.

– Kim jest ta dziwna istota? – spytał lord Ewald, wkładając do butonierki emblematyczny kwiat Miss Hadaly.

– *To nie jest nikt żywy* – odparł spokojnie Edison, patrząc Anglikowi prosto w oczy.



Jacques Noël, szkic ilustracji do *Ewy Jutra* (1957)

## IV. Przygotowania do cudu

*Bez fosforu nie ma myśli.*  
Moleschott

Na to sensacyjne oświadczenie lord Ewald, wytrzymując spojrzenie strasznego fizyka, zaczął się zastanawiać, czy aby dobrze usłyszał.

– Zapewniam pana – mówił Edison – że ten chodzący, mówiący, odpowiadający i posłuszny metal nie okrywa żadnej *osoby* w zwykłym znaczeniu tego słowa.

A ponieważ lord Ewald patrzył nań i milczał, ciągnął dalej:

– Powtarzam: żadnej *osoby*. Miss Hadaly *zewnątrznie* jest wciąż jedynie tworem magnetoelektrycznym. Przebywa w otchłani, jest Istotą, która dopiero może się stać. O ile pan zechce, za chwilę odsłonię arkana jej magicznej natury. A teraz obejrzymy coś, co pozwoli panu lepiej zrozumieć sens moich słów.

Uprzejmymi gestami wskazywał drogę w labiryncie pracowni, prowadząc gościa w stronę hebanowego stolika, na który, przed jego przybyciem, księżyc rzucił swój promień.

– Ciekawym, jakie też ten widok sprawia na panu wrażenie? – zapytał, pokazując Anglikowi bladą i okrwawioną kobiecą rękę, spoczywającą na wrzosowym jedwabiu poduszki.

Lord Ewald znowu osłupiał; patrzył na ten zaskakujący ludzki szczątek, oświetlony teraz światłem cudownych lamp.

– A cóż to takiego? – spytał.

– Proszę się dobrze przyjrzeć.

Młodzieniec ujął rękę i podniósł ją.

– Co to ma znaczyć! Jak to?... Przecież ta ręka... ależ ona jest jeszcze ciepła!

– Nie dostrzega pan w niej nic *naprawdę nadzwyczajnego*?

Lord Ewald przyglądał się ręce przez dobrą chwilę, aż nagle wykrzyknął:

– Nie, słowo daję! – ściszył głos – ta ręka to cud wcale nie mniejszy niż *ona*; osołomiłby najtęższe umysły! Gdyby nie ślad po amputacji, nie rozpoznałbym w niej arcydzieła!

Anglik był wyraźnie zafascynowany. Znow podniósł rękę i porównywał kobiecą dłoń ze swoją własną.

– Waga! kształt! nawet karnacja!... – ciągnął w nieopisanym zdumieniu.

– Czy na pewno nie dotykam w tej chwili ciała? Moje jest od tego całe w dreszczach, dostównie!

– To coś doskonalszego! – odparł spokojnie Edison. – Ciało wiecznie i starzeje się, tu zaś mamy kompozycję najsubtelniejszych substancji chemicznych, zdolną złamać pychę „Natury”. (Między nami mówiąc, Natura to wielka dama, której chciałbym zostać przedstawiony: wszyscy wciąż o niej rozprawiają, ale nikt jej dotąd nie widział!) Ta oto *kopia* Natury, że użyję tego miłego znachorom terminu, przeżyje oryginał, nie tracąc nic ze swej świeżości. Zginie od błyskawicy, nim zacznie się starzeć. To *sztuczne ciało*; wytłumaczę panu, jak się je otrzymuje... albo niech pan sobie poczyta Berthelota.

– Co proszę?

– Powiadam: sztuczne ciało. Sądzę, że nikt poza mną nie potrafi wyprodukować równie doskonałego!

Lord Ewald, nie mogąc znaleźć słów dla wyrażenia swych zmaconych myśli, znów zaczął się przyglądać wizyjnej ręce.

– Ale – zapytał wreszcie – ten perłowy mat, ten ciepły blask ciała, ta intensywna *witalność*!... Jak udało się panu stworzyć to uderzające i cudowne złudzenie?

– Och, najzwyczajniej w świecie! – uśmiechnął się Edison. – To akurat nie było trudne. Po prostu pomogło mi Słońce.

– Słońce!... – szepnął lord Ewald.

– Owszem. Słońce uchyliło nam przecież rąbka tajemnicy swoich wibracji!... Kiedy udało mi się uchwycić wszystkie niuanse skórnej bieli, zabrałem się do jej odtworzenia przy pomocy odpowiedniego układu obiektywów. Wystarczyło uczulić tę utwardzoną albuminę, zawdzięczającą swą elastyczność ciśnieniu hydraulicznemu, na subtelne działania fotochromiczne. Miałem prześliczną modelkę. Jeśli idzie o resztę, to kość ramieniowa, wytoczona z eboru, wypełniona jest szpikiem galwanicznym, pozostającym w stałym kontakcie z siecią izolowanych przewodów, rozgałęzionych na podobieństwo nerwów i żył, zapewniających nieustający przepływ ciepłika, który stwarza, jak pan sam stwierdził, wrażenie ciepłoty i miękkości ciała. Jeśli chciałby pan wiedzieć, gdzie przebiegają nitki tej sieci i dzięki czemu zasilają się, że tak powiem, same przez się, albo też w jaki sposób nieważki płyn przetwarza swe drgania w niemal zwierzęce ciepło, mogę to wszystko wyłożyć, ale to nic więcej niż czysto techniczne detale. Ogląda pan rękę Andreidy mojego pomysłu i wykonania, po raz pierwszy poruszanej tym, co nazywamy Elektrycznością, czynnikiem niewiarygodnie wprost aktywnym, gwarantującym, jak pan miał się okazać przekonać, prawdziwą kolorystykę, prawdziwą jędrność, prawdziwe złudzenie *Życia*!

– Andreidy?

– Sztucznej Istoty Ludzkiej, jeśli to panu bardziej odpowiada. Trzeba się będzie teraz bardzo pilnować, żeby *pod względem fizycznym kopie nie przewyższyły oryginału*. Przypomina pan sobie, drogi lordzie, dawnych mechaników, którzy próbowali konstruować automaty o ludzkich kształtach? He! He! He!...

Edison rechotał niczym Kabir w eleuzyńskiej kuźni.

– Biedacy, z braku stosownych środków produkowali jedynie śmiechu warte potwory. Albert Wielki, Vaucanson, Mälzel, Horner i inni nie byli niczym więcej niż fabrykantami strachów na wróble. Ich automaty zasługują na wystawienie w najpodrzedniejszych muzeach figur woskowych jako wzory ohydy, odpychające nieznośnym zapachem drewna, zjełczałej oliwy i gutaperki. Te stwory, ci nieforemni sykofanci, miast przypominać Człowiekowi o jego potędze, każą mu schylić czoło przed bogiem Chaosu. Pamięta pan ich groteskowe, nieskoordynowane ruchy, podobne do podrygów lalki norymberskiej! Ich absurdalne rysy i farsową cerę! Ich miny wprost z wystawy zakładu fryzjerskiego! Hałas nakręcanego mechanizmu! Głuchy pogłos pustki! W tych wstrętnych maszkarach wszystko, dosłownie wszystko irytuje i zawstydzia. Toż to śmiech i zgroza zlepione w jedną pompatyczną makabrę. Fetysze plemienne z Afryki równikowej! Bałwany australijskich archipelagów! Obrazliwe karykatury *Homo sapiens*! Oto, czym były pierwsze modele Andreidów.

Twarz Edisona ściągnęła się, kiedy mówił; nieruchomy wzrok patrzył w nie-rzeczywistą ciemność; głós stał się kaznodziejski, lodowaty, ostry.

– Ale dziś – ciągnął dalej – czasy się zmieniły!... Nauka pomnożyła odkrycia! Pojęcia metafizyczne znacznie się wysublimowały. Przyrządy do reprodukcji, do

*powielania*, osiągnęły idealną precyzję. Środki, którymi Człowiek dziś rozporządza, podejmując na nowo tego rodzaju przedsięwzięcia, są już *inne* – całkiem *inne* – niż kiedyś! Możemy teraz URZECZYWISTNIAĆ widma doprawdy wstrząsające, tajemnicze *byty mieszane*, o których nasi poprzednicy nie mogli nawet marzyć i których opis wywołałby u nich gorzkie poczucie bezsilności i słowa powątpiewania! Proszę powiedzieć, czy byłoby panu łatwo, przed chwilą, *uśmiechnąć się* na widok Hadaly? A przecież, może mi pan wierzyć, to nic innego, jak nieszlifowany diament. To ledwo *szkielet cienia*, czekający, aż CIEN się stanie! Wrażenie, jakie na panu zrobiła sama tylko ręka Andreidy, w niczym nie przypominało, nieprawdaz, tego, co byłby pan poczuł, dotykając kończyny automatu?... Jeszcze jedno doświadczenie: proszę uścisnąć tę dłoń! Kto wie, a nuż odda uścisk!

Lord Ewald ujął tajemnicze palce i lekko je ścisnął.

O dziwo! Dłoń odpowiedziała na uścisk z uprzejmą życzliwością i wielkim *dystansem*; młodzieniec pomyślał nagle, że ta ręka mogła być częścią jakiegoś niewidzialnego ciała. Wstrząśnięty, przerażony, odrzucił piekielny bibelot.

– W samej rzeczy! – mruknął.

– Jednak – kontynuował niewzruszenie Edison – to wszystko jest niczym, dosłownie niczym, *niczym*, powiadam, w porównaniu z przyszłym dziełem. Ach, przyszłe dzieło! Gdybyż pan wiedział! Gdyby...

Przerwał, jakby porażony nieoczekiwaną myślą, tak straszną, że aż odbierającą mowę.

– Doprawdy – odezwał się lord Ewald, rozglądając się znów dookoła – wydaje mi się, że jestem u Mikołaja Flamela, Paracelsusa albo Rajmunda Lulla w czasach średniowiecznych alchemików i magów. Ale, do czego pan właściwie zmierza, drogi Edisonie?

Wielki Wynalazca, od dobrej chwili wyraźnie czymś zafrapowany, usiadł i przyglądał się młodzieńcowi ze wzmożoną i pełną troski powagą.

Po kilku sekundach przemówił:

– Milordzie, uświadomiłem sobie, że w przypadku człowieka obdarzonego pańską „imaginacją” nasze doświadczenie mogłoby mieć tragiczne skutki. Proszę sobie tylko wyobrazić: stojąc na progu hamerni widzimy pośród oparów żelazo, ludzi i ogień. Dzwonią kowadła; słudzy metalu kuja sztaby żelaza, broń, narzędzia, nie znając *rzeczywistego* przeznaczenia wytwarzanych przedmiotów. Co najwyżej mogą je nazwać ich potocznym mianem. Otóż wszyscy jesteśmy w podobnej sytuacji! Nikt nie potrafi definitywnie określić prawdziwej natury tego, co wykuwa, każdy nóż bowiem może stać się sztyletem, a *użytek uczyniony z rzeczy przemienia je i nadaje im nowe imię*. Właśnie ta niepewność czyni nas nieodpowiedzialnymi.

Trzeba ją zresztą zachowywać, inaczej nikt nie odważyłby się nigdy na czyn!

Robotnik, odlewając kulę, mówi sobie podświadomie: *Człowiek strzela, los decyduje!* „*Nie każda kula trafia*”. I wykańcza pocisk, którego dusza jest przed nim zakryta. Gdyby jednak przed jego oczyma rozwarła się nagła i śmiertelna *ludzka rana*, którą tej właśnie kuli, pośród wszystkich innych, DANE i *przeznaczone* jest otworzyć, którą *zatem potencjalnie odlewa*, stalowa forma wypadłaby mu z ręki – jeśli byłby zacnym człowiekiem – i pewno, gdyby nie mógł zarobić inaczej, pozbawiłby swoje dzieci wieczornego chleba, aby nie zostać w *jakimś stopniu* współnikiem przyszłego mordu.

– I cóż stąd? Wciąż nie wiem, do czego pan zmierza.

– Cóż stąd?... To ja jestem tym człowiekiem, co trzyma nad ogniem wrzący metal! Kiedy przed chwilą myślałem o pana usposobieniu, o pana ostatecznym intelektualnym rozczarowaniu, zdawało mi się, że przed moimi oczyma pojawia się owa rana. Bo widzi pan, *rzecz, o której chcę mówić*, może być dla pana zbawienna lub WIECEJ niż zabójcza. I ja teraz z kolei się waham. Podejmując to doświadczenie, ryzykujemy bowiem obaj! A wydaje mi się ono, doprawdy, o wiele zuchwalsze, zwłaszcza z pana strony, niż początkowo sądziłem. Niebezpieczeństwo, i to z rzędu tych najstraszniejszych, zagraża panu jedynie! To prawda, że miecz i tak zawisł już nad panem, albowiem należy pan do tych, których nieszczęśliwa miłość prowadzi zwykle do tragicznego końca; to prawda, że i ja się narażam, próbując pana ocalić!... Ale gdyby kuracja miała przynieść skutek odmienny od *tego, na który liczę*, uważam... stanowczo uważam, że *byłoby lepiej wszystkiego zaniechać!*

– Ponieważ przemawia pan, drogi Edisonie, z tak szczególną powagą – odpowiedział, przełamując opór, lord Ewald – powinienem pana o czymś poinformować: otóż zamierzałem dzisiejszej nocy skończyć z moją nieznośną egzystencją.

Edison drgnął.

– Toteż może pan się nie wahać – dokończył lodowato młodzieniec.

– Kości zostały rzucone! – mruknął do siebie elektryk – a więc to będzie on! Czyż kiedykolwiek mogłem przypuszczać?

– Proszę mi wreszcie powiedzieć, do czego pan zmierza!

W ciszy, która zapadła, lord Ewald poczuł na czole jakby chłodny powiew Nieskończoności.

– Zgoda! – wykrzyknął przeraźliwym głosem Edison, zrywając się z miejsca. I mówił dalej z płonącym wzrokiem: – Skoro oto Niewiadome rzuca mi wyzwanie, zrobię dla pana, milordzie, coś, czego nie pokusił się dotąd zrobić dla bliźniego żaden człowiek. Powtarzam: zawdzięczam panu życie; najmniej, co mogę teraz uczynić, to spróbować ocalić pańskie.

Pańska radość, pańska egzystencja są, powiada pan, zakładniczkami tej ludzkiej obecności? Ciepła uśmiechu, blasku twarzy, słodczy głos? I ta kobieta, ta Żywa prowadzi pana swoimi urokami na śmierć?

Dobrze, skoro jest ona panu tak droga... UKRADNĘ DLA PANA JEJ OBECNOŚĆ.

Zaraz wykaże, i to niezbie, z matematyczną ścisłością – choćbym miał zmrozić pana do szpiku kości – w jaki sposób, korzystając z zawrotnych zaiste możliwości dzisiejszej Nauki, mogę sobie przywłaszczyć wdzięk każdego jej gestu, każdą krągłość jej ciała, zapach jej skóry, dźwięk głosu, giętkość talii, blask spojrzenia, *indywidualność* ruchów, swoistość chodu, wyraz oczu, grę rysów, cień przez nią rzucany, *wrażenie*, jakie wywołuje, słowem, jej całą Tożsamość.

Zabiję jej głupotę i unicestwię jej triumfalną zwierzęcość. Najpierw przeniosę tę zewnętrżność, która pana tak słodko zabija, na Zjawę, której podobieństwo i LUDZKI urok przerosną pana najśmielsze nadzieje i marzenia! Potem w *miejsce tej duszy, która tak pana mierzi, tchnę duszę innego rodzaju*, mniej może siebie świadomą (coż jednak możemy o tym wiedzieć i jakie to ma znaczenie?), ale zdolną budzić uczucia stokroć piękniejsze, szlachetniejsze i wznioślejsze, uczu-



cia znaczone piętnem wieczności, o której nie wolno zapominać, aby ludzkie sprawy nie stały się zwykłą komedią. Odtworzę jak najwierniej, zdubluję tę kobietę przy wspaniałomyślnej pomocy Światła! Rzutując na jej MATERIE PROMIENISTĄ twą melancholię, milordzie, rozświetlę nią urojoną duszę tej nowej istoty, która zadziwi anioły. Ujarmię Iluzję! Zmuszę IDEAŁ, żeby – w tej zjawie – ukazał się wreszcie *twym zmysłom* DOTYKALNY, SŁYSZALNY I UCIELEŚNIONY. Zatrzymam ulatującą tak szybko pierwszą godzinę oczarowania, którą bezskutecznie próbujesz odnaleźć we wspomnieniach! *Odbiję tę pańską Żywą w drugim egzemplarzu, przemienioną według pańskich życzeń: utrwale ją prawie na wieczność – rozumie pan? – w tej autentycznej i niepowtarzalnej postaci, w jakiej się panu ukazała! Jako wiano dam temu Cieniowi wszystkie pieśni Antonii z opowieści Hoffmanna, cały namiętny mistycyzm Ligei Edgara Poe, cały uwodzicielski urok Wenus mocarza muzyki, Wagnera! Słowem, kupię pańskie życie za ulepioną z gliny współczesnej Ludzkiej Wiedzy istotę, którą uczynię na nasze podobieństwo – zaraz dowiodę, że uczynić ją taką jest w mej mocy – za istotę, która będzie dla nas TYM, CZYM MY JESTEŚMY DLA BOGA.*

I elektryk wzniosł dłoń w geście przysięgi.

## V. Zdumienie

*Stałem, zmumifikowany zdziwieniem.*

Theophile Gautier

Wysłuchawszy tych słów, lord Ewald patrzył na Edisona jak błędny. Wyglądało na to, że *nie chce* zrozumieć, co ten mu proponuje.

Po minucie przemógł wreszcie zdumienie i rzucił, chcąc powiedzieć cokolwiek:

– Ależ... ta istota nie byłaby niczym więcej jak pozbawioną inteligencji, nieczułą lalką.

– Milordzie – odparł z powagą Edison – ostrzegam pana: kiedy zobaczy ją pan obok pierwowzoru i posłucha, co obie mówią, proszę uważać, by *nie wziąć za lalkę żywej*.

Młodzieniec, nie zdążywszy się jeszcze całkiem opanować, uśmiechnął się gorzko z nieco zakłopotaną uprzejmością.

– Dajmy temu spokój – zaproponował. – To jakiś ponury pomysł: pańskie dzieło czuć będzie zawsze olejem maszynowym! Kobiety pan przecież nie spłodzi. Słuchając pana, zastanawiam się, czy geniusz...

– Po pierwsze, przysięgam, że *nie odróżni pan jednej od drugiej!* – przerwał spokojnie elektryk – a po wtóre, powtarzam: mogę natychmiast dowieść, że uczynię ją taką, jak obiecałem.

– TO NIEMOŻLIWE.

– A więc powtarzam po raz trzeci: jeśli tylko pan zechce, mogę *natychmiast* przedstawić, *punkt po punkcie*, nieodparty dowód, nie *możliwości*, ale matematycznej *pewności* urzeczywistnienia tego, co obiecałem.

– Może pan odtworzyć TOŻSAMOŚĆ kobiety? Pan, z kobiety urodzony?

– I to tak, że będzie tożsama z oryginałem bardziej, niż oryginał... sam z sobą! To prawda!... Przecież nie ma dnia, w którym linie ludzkiego ciała nie zmieniłyby się choć trochę, a fizjologia uczy, że mniej więcej co siedem lat wymieniają się *wszystkie* jego atomy. Czy to ciało naprawdę tak bardzo istnieje? Czy kiedykolwiek jesteśmy do niego podobni? Czy kiedy ta kobieta, pan lub ja mieliśmy dokładnie godzinę dwadzieścia minut, byliśmy już tym, czym jesteśmy dziś wieczór? Być do siebie podobnym! To z czasów troglodytów, z epoki kamienia łupanego.

– Zdołałby pan ją odtworzyć w jej pięknie? Z jej ciałem? Głosem? Chodem? Całą powierzchownością?

– Z pomocą Magnetyzmu i Materii Promienistej oszukałbym serce matki, cóż dopiero zmysły zakochanego. Może pan być spokojny, tak ją odtworzę, że jeśli za jakieś dziesięć lat przypadkiem zobaczy swego idealnego sobowtóra, niezmiennego nawet na jotę, rozplacze się z *zazdrości*... i zgrozy!

Po chwili lord Ewald szepnął w zamyśleniu:

– Zdaje mi się, że tworzyć taką istotę, znaczy kusić... *Boga*.

– Dlatego też nie nalegam – odparł cicho i zwyczajnie Edison.

– Czy natchnie ją pan ludzką inteligencją?

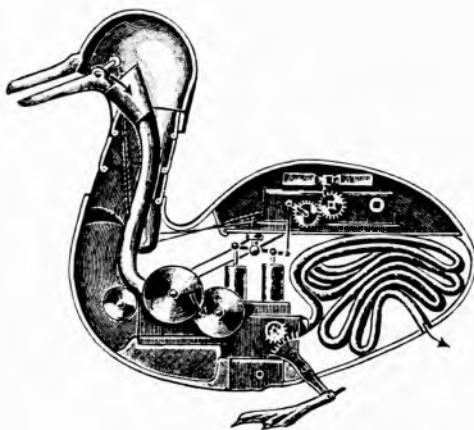
– Ludzką inteligencją? Nie!... INTELIGENCJĄ LUDZKOŚCI!

Usłyszawszy te słowa, które paść mogły tylko z ust Tytana, lord Ewald stanął przed wynalazcą jak skamieniały. Patrzyli na siebie w milczeniu.

Rozpoczęła się gra, w której stawką była – używając języka nauki – psyche.

AUGUSTE VILLIERS DE L'ISLE-ADAM

Tłum. RYSZARD ENGELKING



Anatomia „Kaczki” (1746) Jacquesa de Vaucanson na rycinie sporządzonej według szkiców konstruktora. Faktyczne istnienie „Kaczki” bywa podawane w wątpliwość.